TĘCZA

DWUTYGODNIK DLA SZTUKI, LITERATURY I HUMORU.

Poznań 1911. Nr. 1.



JULIAN FAŁAT FAUNY.

Z CISZY NOCNEJ.

I.

Noc jest cicha —
Słychać, jak kropla rosy zwolna
od rąbka kwiatu spływa
w głąb kielicha.

Dusza jak kwiat —
Cudowną chwilą
paproć swe liście rozwinie
i w chłodny kielich paproci spłynie
cały ogromny świat.

II.

Cóż to za dziwy, cóż to za dziwy
pod czarodziejskiem światłem miesiąca?
Z każdego drzewa i z każdej niwy
harfa się czyni grająca.

W każdego człeka, w każdego człeka
łagodny smętek jak w strunę trąca,
jakaś w nim szumi rzeka daleka
cicho jak harfa grająca.

Święta godzina, święta godzina —
i świat zapomniał włódarza-słońca,
jeno mu dusza się przypomina
hen z serca borów grająca.

III.

Cicho — podajcie sobie kochające dłonie,
siądźcie na ławę niską przed kochaną strzechą,
lub idźcie ścieżką w ciche księżycowe błonie,
gdzie do was noc przemówi smętkiem i pociechą.

Nie mówcie z sobą, aby nieopatrzne słowo
wspomnieniem dnia nie targło uroczystej głuszy.
Świat cały wokół ciszą sączy księżycową,
w tej ciszy może człek się znów doszuka duszy.

Bronisław Biedowicz.

BEZDOMNY.

Dzisiaj pojedzie.... Obmierzło mu tu życie. Bo jakże tak dłużej źreć się i gryźć i łazić jak pies do tej piekielnej fabryki. To przecie człek sam się staje jak maszyna bez czucia i myśli. A to już tak dwadzieścia lat...

A toć przecie on nie fabryczny, a toć on z roli, z dobrej, kochanej, własnej roli. Kiejby pan był na niej, miał zboże swoje, chleb swój, swoje drzewa, konisko i krowę. Gdy jeszcze ojciec żył i zdołał dopatrzyć, to i chudobie i roli było dobrze. Ale teraz ta stara baba komornica pisała, hetki już, że ojciec dogorywa i słaby a może już zmarł. To i pewno ziemię djabli wezmą....

Zakipiało w nim niby w owym kotle, przy którym stał wpół nagi, świecący jak miedź topniejąca....

Tak dzisiaj pojedzie, dzisiaj go już ani djabeł ani baba nie wstrzyma.

* * *

W domu był hałas jak w piekle. Baba, przyzwyczajona do potulności i dobroci chłopa, wymyślała, a kiedy milczał, lżyła mu, a gdy jeszcze milczał, poczęła nim pomiatać: jego pracą, powolnością i religią.... Ale omyliła się, on dzisiaj jak kamień był twardy, nieugięty, uparty.

— Pojade, bo pojade, bom się tak uwzioł.

A kiedy wreszcie beczeć poczęła, załamywać ręce, wskazywać na dzieciaków, co głupiemi ślepiami rozglądały się po izbie, to go taki ścisk wziął koło serca, taki wstręt go opadł, wszystka krew skoczyła mu do źrenic, jak psu wściekłemu. Nie wiedział teraz, co gada i robi.

»A ty jędzo miymiecko, i te twoje szczenioki miymieckie, a niech wos wszyscy djabli... Pojade, bom uwzioł sie, że pojade... Kto to mie oszukoł, kto się to tak mizdrzył do mnie, że był dzieciok z tego, a kto potem cię ratował od hańby... psia«... I porwał za jakiś niski obok stojący stołek a raczej kloc dębowy, zamachnął się i rzucił z całej siły »a to niech cię zaro djabli wezmą!«

I byłby zabił kobietę, gdyby ta nie była się właśnie przypadkiem usunęła. Stołek runął o ścianę, rozbił się na kilka kawałów i taki wyłom uczynił w ścianie, że nagie

Powrót Werguna z kongresu prasy słowiańskiej w Białogrodzie.



Wergun: Pobito mnie, sponiewierano.
Car: Ano widzisz kochany Wergunie, naszej idei wszechsłowiańskiej nie szerzy się bez pomocy kozaków i nahajek.

K. GRUS.

świeciły cegły. Kobieta zbladła z przestrachu i oniemiała, porwała dzieci i zamknęła się w komorze. I było cicho... Tylko on krzątał się znowu po izbie, zbierając manatki w jakiś miech stary, pewno jeszcze z ojczystej pochodzący zagrody, i powtarzał ciągle, twardo i ponuro:

— Pojade, bo pojade, bom się tak uwzioł!

* * *

Wreszcie już był w wagonie.

Ulokował toboł, raczej miech ze rzeczami w kącie, a sam usiadł na ławce podle okna. Na łeb wciągnął kaptur, skurczył się, nie wejrzał ni w prawo ni w lewo. Wlazł w siebie jak pies do budy.

W drodze jakiś niemiec czerwony trącił go łokciem, chcąc go poczęstować gorzałą. Ale on ani się ruszył, zamruczał jeno złowrogo jak brytan na swoim podwórzu. I potem już miał spokój.

Czuł się tutaj jak nie z tego świata.

Niewidzialna jakaś ręka zapuściła się w głąb jego trzewi, ciągnąc go przemożną siłą precz od tych kominów czarnych i ludzi zwęglonych, z którymi żył lat dwadzieścia, precz od tej żony-niemki, która jego szlachetne i łagodne serce oszukała tanią miłości i łez, a obcą mu była do dna, i od tych dzieci, których nigdy nie przygarnął, bo zdawało mu się, że czyjeś, nie jego. To było karą Bożą, przekleństwem.

Czuł się bezdomnym, ot jak ten bocian wiosną nad łąkami i wioską lecący, szukający swego gniazda daremnie.

Czuł się nieomal dzieckiem. Uchwyciłby się kościstą ręką fałd matuli, gdyby tu była przy nim, i prosiłby i płakałby: »Do domu matulu, do domu, ja tu się boję.«



JULIAN FAŁAT.

Zawładła nim tęsknota, wielka, serdeczna.

Widział przed sobą wioskę śród wielkiej naokół równiny, niby kępkę zieloną, śród której pochowały się domki szare niby stado gołębi.

Widział pola zielone i łany zboża, szumiące niby migotliwe jezioro płynnego złota.

Jakże on pędził na drabiastym wozie przez ten złocisty łan. Zdawało mu się wtedy, że słońce samo wiezie do wsi.

Jakże on tańczył z dziewuchą do upadłego, kiejby wicher, w karczmie przydrożnej w wieczór niedzielny, przy tej muzyce chłopskiej wrzaskliwej a śpiewnej, szalonej a płaczącej... Magdo, moja Magdo!

I wstrząsł się nagle jakby go ktoś oblał wrzącą smołą. Coś mu przysiadło do gardła, coś zapuściło niby kleszcze miedziane w głąb jego istnienia i dusiło mu serce, jak wiejski wyrostek dusi pisklę, wykradzione z gniazda. Musiał chwycić powietrza, westchnąć, załkać.

»Przecie ja tylko dla chleba, dla chleba« — mruczał szukając, jak żak szkolny, szczęśliwej wymówki. »W ów rok posuchy i zarazy i bożego gniewu za wiele było jednego człeka w domu, za wiele jednej gęby zdrowej. Wszyscy byliby głodni. Trzeba było iść w świat, by ich ratować.«

Ale te argumenty, które wytaczał, nie przekonywały go, nie przeważały strasznego poczucia winy, która w jego oczach i uczuciu olbrzymiała i przygniatała go.

Przecie miał wrócić, a czemu nie wrócił?

Przecie miał ojca podeprzeć, czemu nie podparł?

Przecie przysięgał swej dziewce, czemu ją zapomniał.

Przecie ziemia go wołała, dobra, kochana, ojcowizna, czemu jej nie słuchał?

I znowu coś mruczał, coś jak przekleństwo na siebie i swe spaczone życie. Oddychał głęboko, rzęził raczej niby wóz parowy, któremu za ciężkie przywieszono brzemię, a w głowie mu wrzało i przewalało się bez porządku ot jak w owym kotle, przy którym stał lata całe:

Ojcze, Magdo, Ziemio moja, ziemio...

* * *

Godziny mijały, wsie, miasta. Ludzie wchodzili, wychodzili. Obcy wszyscy, dalecy. A on śród nich wszystkich taki całkiem inny, oddzielny, zamknięty w sobie świat, toczący się gdzieś poza tym wielkim światem, śród którego szły drogi tych, którzy tu obok niego siedzą, stoją, gwarzą i śmieją się. Zatracił łączność ze życiem, wsłuchany w szalony wir własnej duszy. Dopiero hen, po pół doby takiej samotności, poczęły echa jakieś łamać się o zamknięte wrota jego duszy, coraz silniej i natarczywiej. Po wagonie zaczęły rozlegać się dźwięki, które jak krople deszczu rzeźwiły wyschniętą rolę jego myśli. Budził się, przypominał sobie, gdzie jest, dokąd dąży. Nadsłuchiwał....

Ktoś wszedł: »Niech będzie pochwalony...« a inny: »Na wieki wieków!«

Ktoś, usiadłszy obok, trącił go: »A wy sąsiedzie, dokąd ta jedziecie?«

Chciał wejrzeć, chciał ręce ucałować temu człowiekowi, chciał się pytać o lud, o swoich, o ziemię. Nie odważył się. A toć przecie pomyślą sobie, że on niemiec, jak on im tu zacznie gadać. A toć przecie on już nie umie tak gadać, jak tu oni gadają, wyśmieją się. Wstyd go wziął, uciekłby gdzieś najchętniej. Ale kiej już tu usiadł, to i wysiedzi, niech się już dzieje, co chce.

* * *

Otóż i wysiadł. Począł się rozglądać, jak ptak po gnieździe swojem. A toć przecie ten dworzec taki sam, jak przed laty, czerwony, tylko poczerniał trochę i taki sam na nim duży czarny napis. A tam ta droga, strze-

żona dwoma rzędami wiekowych topól, a tam to przecie młyn, gdzie Magdoś jego, a tam niedaleko za młynem musi być ta jego wieś ojczysta, a na końcu wsi — jego własna chałupa i ogród i ta ziemia pachnąca i ta grusza w polu. I cieszył się, że spamiętał sobie te drogi i osady i nazwy ich, i zdawało mu się, że to jeszcze wszystko dobrze będzie i szczęśliwie.

Zapomniał o wszystkiem, co go od tej ziemi i ludzi tych i życia tego dzieliło, zapomniał o więzach, które go nie puszczą zbyt daleko, jak koźlę na łące sznur przytroczony do nogi jego i kołka. I było mu lekko.

Widział siebie na drabiastym wozie pędzącego przez łan, rzucającego wesołe uśmiechy do dziewek brunatnych.

Widział siebie przejeżdżającego pod młynem i walącego z bicza salwy radosne dziewce swojej, Magdosi...

Odetchnął świeżem, korzennem powietrzem i raźnym krokiem ruszył ku wsi. Duch jego przeskoczył całą otchłań między ongi a dziś i dał mu tę chwilę najcudniejszej poezyi, jaką czasem odczuwa więzień, wyzierający przez kratę w zieloną wiosnę lub złociste lato.

* * *

Mijając młyn, wejrzał w okna. Ale ciemne były, patrzały jakby oślepłe. Pies szczekał zawzięcie, zwęszywszy obcego poza wysokim płotem drewnianym. I wtedy poczuł znowu tę swoją straszną bezdomność, tę obcość swoją na świecie, tu i tam, i znowu owa ciężka, zimna metalowa ręka gniotła mu serce, jakby ze złości, iż jeszcze bije. »Jezu, Jezu!« — wyrwało mu się.

I otarłszy rękawem pot z czoła, poprawił tobół na barach i lazł znowu, ze wzrokiem wlepionym w wyjeżdżoną drogę, nie patrząc ni w prawo ni w lewo, jak ślepa, nieugięta, żelazna konieczność.

We wsi dopiero ożył.

A toć się tu wszystko zmieniło: prawie wszędzie nowe murowane domki z niebieskimi albo czerwonymi dachami niby jakie dworki szlacheckie. Wzbogacili się widać. Ktożby, jeno ziemia im dała...

Kościół jeno pozostał jaki był, biały z ceglanym, poczerniałym dachem i wieżą pokrytą czarnym kapturem. Niby jaki biały staruszek siedzi na wzgórku i modli się.

Ludzi nie wiele. Pewno w polu jeszcze. Tu i owdzie baba jaka przed domem zajęta pracą i dzieci na drodze bawiące się w piasku.



T. POPIEL.

PROJEKT WITRAŻU.

A tam teraz powinna wyjrzeć z za płota jego chałupa, a wej... ale jakiż to murowany, czerwony, duży dom.

Podszedł bliżej i patrzy. Tak mu się jakoś innym wydał niż te, które widział przy drodze. Zimny, ponury, ha i furtka zamknięta, a gdzieby to ojciec był zamykał furtkę.

Chciał zakołatać, ale lęk jakiś ubezwładnił go, nadsłuchiwał, ale niezrozumiałe tylko dźwięki wyłowił z powietrza, chciał wyjść w pole, pokłonić się jemu i niebu i słońcu, ale myślał, że może obcych tam spotka i wyśmieją go. Bał się jak dziecko, zawrócił, uciekł prawie.

Poszedł do gościńca. Przesiedział tu już chyba z godzinę, zanim odważył się pogadać z posiwiałym żydem.

* * *

»O Boże, Boże! toć umarł ojciec, i ziemię wziął obcy, niemiec i poganin. O ziemio, moja ziemio! Pola szumiące, toć ja do was przyszedłem z daleka, łąki moje, toć mię tak ciągnie do was, jakbym moje serce był zostawił w waszem łonie, chato moja, toć ja twoje ściany chciałem ucałować i próg twój kamienny... Jezus, Maryjo!« —

Łkał; zniszczony był jak łan zboża, po którym przeszedł orkan gradowy. Wszystkie nadzieje jakby kosą podcięte i całe życie, ot jak topól spróchniała wichrem wyrzucona z szumiącego rzędu.

Wieczór się zrobił. Karczma napełniała się ludźmi. Duszno mu było, wstyd go brał, lęk, tęsknota. Uciec ztąd, tylko uciec! Wstał, rzucił pieniądz na stół, aż żydowi broda zadygotała ze strachu, i nie czekając zwrotu, zarzucił miech na plecy i poszedł. Ogarnęła go cicha, pachnąca, księżycowa noc.

O, gdzieżby to cię wzruszył tak do głębi ten czarowny mrok, jak nie na tych naszych, szerokich i czystych równinach, i ten przytłumiony poszum traw i daleki pomruk lasów. I gdzieżby to cię tak do głębi przenikła pieśń wieczności, którą gra złocista harfa naszych gwiazd! Tu staniesz się cichy, rzewny, miłujący.

Chłop szedł teraz drogą obok dawnej swojej ziemi. Nie wiem, wiedział o tem, czy nie widział, ale płakał i rękawem od czasu do czasu przecierał oczy. Tuż przed nim, na polu o kilka kroków od drogi, wznosiła się stara, nawpół wyschła grusza. Cicho szemrała, niby baba szepcąca różaniec.

Stanął, zadumał się, coś niby jakieś drogie wspomnienie mignęło po zmęczonej twarzy. Zszedł z drogi

i schylony, aby go nikt nie widział, poczołgał się do drzewa i stanął w cieniu pnia. Patrzał w przeszłość.... Magdoś, Magdoś, czemuż cię tu niema jak ongi w wieczór lipcowy, i już nigdy, nigdy?... Patrzał na dalekie przed nim rozlane srebrne morze pól i łąk, jak posąg nieruchomy, a potem runął na ziemię i jął całować wilgotny piach, i łkać i ryczeć: »Ziemio, matko, przebaczysz? Żyjesz? czylim ja cię zabił? — Ziemio moja, ziemio moja!« —

Leżał długo wpół żywy, wpół nieżyw. Nagle, jakby mu myśl zabłysła nowa, wstał, wyrzucił manatki z wora, związał je w toboł i przyklęknąwszy do próżnego miecha, jął sypać własnemi rękoma tę ziemię ukochaną, skropioną łzami. Zawiązawszy zaś szmatą, dźwignął na bary aż kości zatrzasły, wziął toboł w drugą rękę i powlókł się księżycową drogą, niby upiór czarny, nie wiedzieć dokąd i po co.

Br. Norwicz.

□□□

Na wiatr

sypiemy
złote maków kiście,
Okwiat jaśminu
wybielany czyście
I chryzantemy
w rzęsach jak płomyki,
Makiem rubinu
zasiane storczyki....
Siejem obficie
złote kwiecia pęki
W tej szarej ziemi —
pył drobny i miękki,
I w mroźne życie
te barwiste plamy
Dłońmi pełnemi
rzucamy
na wiatr....

Lech Suchowiak.

□□□



JAN WRONIECKI.

ŁADNA HISTORYA.

Przyjaciel mój Roman był szczęśliwym ojcem pięcioletniego Romcia, który obdarzał mię również swoją przyjaźnią. Kiedykolwiek zaszedłem do Romanostwa, mały Romcio zawsze wskakiwał na moje kolana i domagał się albo »cukielków« albo bajek.

Ale niebawem wyczerpał się mój bajkowy repertoar, począłem tedy małego natręta zachęcać, ażeby się odwzajemnił i opowiedział mi jaką ładną historyę.

Mały Romcio zamyślił się na chwilę, poczem jął opowiadać:

Pewnego razu zaprosiła nas do siebie ciocia, co ma taki duży, bardzo duży ogród. Do obiadu dostałem kieliszek wina, a potem dostałem pełen talerz poziomek z bitą śmietaną. A potem powiedziała mi ciocia: »Romcio kochany, teraz możesz iść do ogrodu, tam możesz się bawić i jeść tyle owocu, ile tylko zapragniesz.«

Najpierw więc pobiegłem do agrestu i zjadłem tyle, że więcej jeść już nie mogłem. Ale ciocia ma także gruszki, ale one były jeszcze nie dojrzałe, zjadłem więc ich tylko kilka. Wiśni zjadłem bardzo mało, bo kwaśne. Potem biegałem całe po południu po ogrodzie, aż się spociłem. Potem ciocia dała mi dużą szklankę świeżego mleka prosto od krowy. A potem przy kolacyi dostałem dużą szklankę piwa. I potem pojechaliśmy już do domu. Siedziałem na koźle i byłem bardzo zmęczony. Potem zaczęła mię mamusia rozbierać, a zdejmując moje spodeńki, zawołała: »A to ładna historya!!«

□□□

Odurzajcie się!

Odurzonym trzeba być zawsze i wszędzie. W odurzeniu bowiem — poeci i egzaltowane czternastolatki nazywają to »upojeniem« — w odurzeniu spoczywa wszystko: początek i koniec, odurzenia żąda od nas życie. Aby więc oswobodzić się z pod potwornego ciężaru teraźniejszości, który spoczął na karkach waszych i tłoczy kark wasz ku ziemi — odurzajcie się bez przerwy.

Czem? — Winem, poezyą albo i cnotą — wedle upodobania.

A jeżeli ockniecie się niekiedy na stopniach jakiego pałacu, na bujnej zieleni jakiego grobu, w ponurej samotni waszego poddasza, i poczujecie, że siła odurzenia osłabła albo i zupełnie zniknęła, natenczas zapytajcie wichru szalejącego, wzburzonej fali, gwiazdki pogodnej, ptaka trwożliwego, stoika-zegara, wszystkiego co płoche radością, wszystkiego co brzemienne tęsknotą, wszystkiego co łka, co śpiewa, co mówi — zapytajcie, co wam czynić należy. A wicher i fala, gwiazdka i ptak i zegar odpowiedzą wam: »Wielki czas odurzyć się! Abyście się nie uczuli udręczonymi niewolnikami teraźniejszości, odurzajcie się bez przerwy, zawsze i wszędzie. Winem, poezyą albo i cnotą — wedle upodobania.«

Cz. K.

UROJENIA SYONU.



K. GRUS.

Jeszcze tylko kilka worków złota, a usuniemy to znienawidzone znamię na zawsze.



JULIAN FAŁAT. SEN ARTYSTY.

Z OLYMPU.

Za siódmą górą, za siódmą rzeką, wśród niedostępnych wyżyn jasnego olimpu, siedzi sztuka na złocistym tronie, kowanym przez natchnionych i — pali fajkę....

Do koła przejasnej, zasiadł różnorodny tłum nieśmiertelnych i — ziewa....

Wśród ogólnej ciszy dostojny Angelo zwrócił swoje źrenice na Murillę i zapytał....

— Ażaliż, o wielki! nie otrzymałeś jakowych wieści z ziemi??...

— Nie, panie!

Dostojny Botticelli wyjął z zanadrza »perspektywę« i podał mistrzowi, rzekłszy....

— Spojrz, o mistrzu, na świat, a może co ujrzysz.

A wielki Angelo przyłożył instrument do swoich dostojnych ócz i spojrzał.

Spojrzał na swój umiłowany Rzym i westchnął.

— Co widzisz, o nieśmiertelny?! — pytali mistrze.

— Widzę — rzekł — braci naszych malujących Madonny na płótnach od nosa.

— Spojrz dalej Mistrzu.

Mistrz spojrzał na Paryż i znowu westchnął....

— Widzę — rzekł — braci naszych w przytułku, rzeźby moje w lupanarach.

— A dalej??...

— Cztery miliardy portretów Bismarka.

(Nieśmiertelni zaczęli ziewać).

— A dalej???...

. . . .

Lecz wielki mistrz nie odpowiadał.... tylko patrzał, patrzał i naraz zachwiał się i zemdlał.

— Co to???

Mistrz patrzał na Poznań....

Roman Wilkanowicz.

□□□

Znak nieomylny.

— Do jakiej narodowości zalicza się ten panicz, ot tam w kącie? — zapytał jeden cudzoziemiec drugiego.

— Kopiuje zewnętrznie Anglika, mówi świetnie po francusku, zachwyca się tylko nauką i sztuką niemiecką, zna na wskroś wszelkie Riwiery, jest więc Polakiem.

* * *

Nagrobek w Moskwie.

W tem życiu utrudnionem, niemiłem i krętem,
Człowiek, który tu leży, czem był? Intendentem.
Pokłoń mu się przechodniu, choćby o trzy mile,
Podejdź i z pół godzinki postań przy mogile.
Jedyny to był okaz w Moskwie, w wielkiem mieście,
Nie ukradł ni kopiejki. — Zmarł lat temu dwieście.

WIECZÓR.

Rzeka łuk szeroki zatoczyła,
Stare wierzby pochyliły głowy
Po nad falą, z której łuna biła,
I świat piękny był, jak sen majowy.

Szatę mroku zwolna brał na siebie,
Kiedy gasło słońce o zachodzie,
Zapalały się chmurki po niebie,
Zapalały się gwiazdy na wodzie.

Tam stanęłem, jako duch pokutny
Na nadziei zawiedzionych grobie,
W jasne fale wzrok grążyłem smutny,
Jasne fale — mówiły o tobie.

I nurt płynął nieprzepartą siłą
W dal, pomiędzy wierzb schylonych tłumem,
A mnie twoje wspomnienie wabiło,
I wabiła rzeka fal swych szumem.

I stanęła w pamięci nareszcie
Myśl, co serce mi przygniotła głazem,
Że wy sobie podobne jesteście,
Że ta rzeka duszy twej obrazem.

Takie ognie w twych oczach się palą,
Kiedy płomień rozkoszny z nich bije,
Tak ponętne usta twe z koralu —
Takie męty dusza twoja kryje.

J. N. Szuman.

□□□

Kto zawsze i wszędzie szczerą prawdę mówi, ten jest albo błaznem albo też chce być męczennikiem.

W złości wypowiadamy często najtajniejsze myśli.

Największą bezmyślność uniewinniamy zazwyczaj słowami: »Ach, myślałem«....

Skromność należy cenić choćby dla tego, że ułatwia innym bezczelność.

Zazwyczaj zazdrościmy innym powodzenia, a unikamy pracy, której powodzenie było owocem.

Niejeden starzec odmładza się, naśladując głupstwa młodych.

Ludzie niektórzy zwią siłę wielkością.

Nie licz na nic, jeśli nie chcesz się przeliczyć.



K. GRUS.

Gdybym miał dochody mego szofera, nie potrzebowałbym samochodu dla wzmacniania kredytu.

* * *

Zezowata polityka.

— Jak patrzy Rosya na sprawę marokańską?

— Zezowato, bo jedno oko musi mieć w Pekinie, drugie w Berlinie.

* * *

Nauczyciel: Poczem poznacie trujące grzyby?

Mały Józio: Po bólu brzucha!

Żona: Władziu, dzisiaj w nocy znowu chrapałeś.

Małżonek: Śniło mi się, że zamieniłaś się w hydrę i że dla każdej odrastającej głowy musiałem kupić nowy kapelusz z strusiemi piórami.

* * *

Pomocnik: Chciałbym poprosić pana, aby zechciał mnie zwolnić na dzień mego ślubu.

Pryncypał: A do djabła, czy pan wszędzie być musi?

* * *

Humor szkolny.

Profesor: Nie piszże zaraz wszystkiego, co mówię, bo i tak nie ma sensu!

* * *

Między szoferami.

— Człowiek, którego przejechałeś twierdzi, iż zna numer twego samochodu.

— No, i jaki wymienił?

— **66.**

— A ja mam **99.** Widocznie stał na głowie podczas czytania.

* * *

Nasze dzieci.

Razu pewnego pyta mię mój synek: Kiedy przyniósł mnie bocian, przed południem, czy po południu?

— Przed południem o jedenastej.

— A którego?

— Pierwszego stycznia.

Synek (z rozpromienioną twarzą): Ależ mamusiu, toć to właśnie w moje urodziny!

□ □



F. ZYGART. KRÓL MÓRZ.

Trudno o świadka.

Jadąc pewnego razu tramwajem, potrąciłem przypadkiem pewnego jegomościa. Od słowa do słowa, przyszło do sprzeczki, podczas której ów jegomość nazwał mnie człowiekiem nieokrzesanym i osłem, co poczytałem za obrazę honoru. Zwracam się tedy do najbliższego towarzysza podróży z uprzejmem zapytaniem, czy słyszał, jak pan ów mnie obraził.

— Nic nie słyszałem — brzmiała szorstka odpowiedź — gdyż bardzo źle słyszę.

Niezrażony odmowną odpowiedzią, zwracam się do drugiego sąsiada.

— Jaja rórównież nie dosłyszę — wyjąkał.

Wściekły zapytuję się trzeciego:

— Czy pan także nie dosłyszy?

— To nie, ale jestem głuchoniemy.

□ □

HEJ KELNER!

Prabyty, ludzkość, wszystko furda bracie,
Kastalskie źródła i letejskie wody,
I smętna muza. Lepiej pókiś młody,
Powieś się chłopcze na własnym krawacie.
Co ci tam ludzkość?... Ludzkość śni swój eden,
Jak mops opasły: kelner — koniak jeden!!!
Że tam gdzieś wicher u krzywego płota
Smaga nędzarza i piersi mu targa,
Cóż z tego?..., że tam gdzieś sieroca skarga
Drga na ścierniskach, lub płacze tęsknota.
Nie zmienisz bytu, nie bądź altruistą,
Pal djabli ludzkość! — kelner, podaj »czystą«!
Kobieta, miłość domowe ognisko,
Życie spokojne i potomstwo zdrowe;
Jasny wzrok żony, dziatek włoski płowe —
Czczy dym mój bracie i komedye wszystko!
Żonę twą kupi za bursztynów kubek
Jaki »przyjaciel,« kelner — paczkę »Dubek«.
Miłość bliźniego, powiesz; pięknie w samej rzeczy
Kochać bliźnich i ludzkość i mieć ideały.
Wstrzemięźliwość, godzinki, do wieczystej chwały
Się sposobić, to pięknie, nikt temu nie przeczy.
Cnoty ludzkie notuje niebieski reporter,
Niech notuje, hej kelner! — Grodziskie i porter!
Polityka, byt ludów! Co cię to obchodzi,
Czy w kraju są fortece, czy jest gruzów kupa,
Kpij sobie z Cepelina i kanonów Krupa,
Takich kwestyi przy »czystej« stawiać się nie godzi.
Czyś tam anarchistą, czyś nie anarchistą,
Jesteś sobie człek czysty. Kelner, podaj »czystą.«
Sztuki piękne, kultura, królewskie bogactwo
Duszy ludzkiej, tam, także nie wielkie zdobycze;
Jeszcze ludzkość knut nęka i więzienne prycze,
A myśl zamiast się wznosić, pełza jak robactwo.
Kawa czarna...., na globach ludzkości kurhany,
Myśl się mąci... Hej kelner! jam chyba pijany??...

Roman Wilkanowicz.

□ □ □

Lubię prawdę w śmiechu!

Wiem ja, że pianą te różowe bańki,
Że parą nikłą życia jawy cudne,
Że szczęście baśnią zdziecinniałej niańki,
I ideały ognie błędne, złudne.

Wiem, że pod szychem, co mię nęci, mami,
Parciane szmaty zbutwiałością trącą,
I że zapłacę rozkosz smutku łzami,
Lecz precz mi z prawdą, tą ponurą, źrącą!

Och weź mi zmorę, co swój szkielet szary,
W tęczowe barwy pcha mi tak natrętnie.
Do djabła z smutkiem! Z szczęścia pić chcę czary,
Pić bez pamięci, długo i namiętnie.

Zostaw mi błazna różnobarwne szaty,
Niechaj głos dzwonków głuszy klątwę grzechu,
Zabierz swej zimnej wiedzy chude gnaty,
Ja lubię prawdę tylko — w salwie śmiechu.

Kazimierz Grus.



— Pan jesteś zapewne spokrewniony z panem Orłowskim?

— Toż ja nim jestem!

— Ach, dla tego też takie wielkie podobieństwo!

Pomiędzy poetami.

— Za wiersze twoje nie otrzymałeś chyba jeszcze ani trojaka?

— Co, ani trojaka? Dopiero przed trzema dniami poczta wręczyła mi 24 marki honoraryum, po dwadzieścia fenygów za wiersz.

— Któż ci uwierzy! Ciekaw jestem, jaka redakcya honorowałaby tak wysoko twoje wierszydła?

— Nie, od redakcyi nic nie otrzymałem, tylko z poczty za zgubiony list rekomendowany, w którym się moje wiersze znajdowały!

* * *

Dwojaki skutek.

— Jeśli w nocy piję czarną kawę, to spać nie mogę.

— Dziwna rzecz! Ze mną dzieje się całkiem przeciwnie; jeśli śpię, nie mogę pić czarnej kawy.

* * *

Z obrony sądowej.

....W końcu, szanowni sędziowie przysięgli, chciałbym jeszcze zwrócić uwagę waszą na bardzo ważną rzecz, która szczególniej na korzyść mego klienta przemawia: Zważcie panowie, że was jest dwunastu silnych, zdrowych i rozsądnych mężów, przeciw jednemu oskarzonemu, który na domiar złego jest słabowitym i ograniczonym człowiekiem.

* * *

Sędzia: Powiadacie, że kradąc ten paletot, byliście całkiem pijani.

Oskarzony: Tak jest panie sędzio, inaczej bowiem wybrałbym sobie lepszy.

* * *

Narzeczony: Czy śniło ci się kiedykolwiek o mnie?

Narzeczona: Dzisiaj śniło mi się po raz pierwszy.

Narzeczony: (czule) Najdroższa moja, opowiedz mi, co ci się śniło?

Narzeczona: Tak, śniło mi się, że twoja łysina przeświecała nawet przez kapelusz. Ach, jak to śmiesznie wyglądało.

* * *

Uspokojenie.

Gość (który nie może zapłacić należytości za wypitą wódkę i piwo do oburzonego na to gościnnego): Nie gniewaj się pan tak bardzo, przecież nie pan temu winien, że nie mam pieniędzy.

* * *

Nasi artyści.

— Wiesz co, zdaje mi się, iż nie mam talentu!

Poczem to poznajesz?

— Zaczynam być pracowity!

* * *

Kobieta przyszłości.

— Wandziu, jak ty sobie wystawiasz zboczenie seksualne?

— Zboczenie seksualne zachodzi wtedy, gdy naprzykład zaczynasz kochać twego męża!

Jedna z naszych gazet opisując zwyczaje ludowe, ubolewała, że na Śląsku zanika coraz bardziej zwyczaj kropienia pól wodą święconą na Wielkanoc. Obrządek ten, według wierzeń ludu, chronił zasiewy od klęski gradowej. — Ponieważ rolnicy robią dzisiaj świetny interes na gradobiciu, dzięki instytucyom zabezpieczeniowym, przeto nie tyle ubolewać należy nad zanikiem starego zwyczaju, lecz raczej dziwić się, że nie zrodził się jeszcze nowy dla uproszenia gradu.

* * *

— Gdybym tyle miał długów, co ty, to nie mógłbym ani jednej nocy spokojnie przespać.

— Dla tego też przesiaduję tak długo w kawiarni.

* * *

— Radzę ci iść na wystawę. Znajdziesz tam świetnie skomponowany obraz Popiela.

— Nie mam dzisiaj czasu, ale polecę orkiestrze Domu Przemysłowego, aby kompozycyę tę jutro odegrała.

* * *

Policyant: Człowiek się wstydzi iść z takim obdartusem!

Aresztowany: Przechadzka z panem policyantem chyba także nie przynosi mi zaszczytu.

* * *

Lekarz: Po jedzeniu powinien pan odbyć conajmniej półgodzinną przechadzkę.

Pacyent: Ależ panie doktorze, przecież nie mogę od rana do wieczora biegać po dworze.

* * *

— Jadziu, czy ci nie wstyd, masz w tym miesiącu już drugiego wielbiciela?

— Ależ proszę cię, jeden drugiemu jest tak podobien, że nikt tego nie zauważy.

* * *

Nauczyciel: Spamiętajcie sobie, jutro poznacie dzieje odkrycia Ameryki. Przy tej sposobności opowiem wam także o jaju Kolumba, przynieście zatem do szkoły po jednem jaju, a kto jaj nie ma, ten może przynieść wyrosłego kurczaka.

* * *

Lekarz: Pan Mostowski nie był mi nigdy sympatycznym człowiekiem. W ostatniej chwili pokazało się też najoczywiściej, że nie można mu było ufać. Gdy zachorował, stwierdziłem raka żołądkowego, a tymczasem sekcya wykazała, że umarł na ślepą kiszkę.

* * *

— Dla czego pani mecenasowa nie chce nic wiedzieć o swym mężu?

— Ha, dla tego, że o nim coś wie.

Szczęśliwy Leonardo da Vinci w Paryżu.



Nasz artysta.

— Kupować obrazów nie chcą, niechby je przynajmniej kradli.

* * *

Na programie amatorskiego koncertu wydrukowano: »Czysty dochód przeznacza się dla ubogich.« Szczęśliwi ludzie, otrzymają pieniądze, nie potrzebując słuchać koncertu.

Jan Wroniecki.

PRZEDPŁATA wynosi na poczcie kwartalnie **1,80** Mrk. Pod opaską wprost z Ekspedycyi 2,10 Mk. Z odnoszeniem do domu 15 fen. więcej. Pojedyńczy numer 30 fen. W Austryi: 2,20 kor. Pod opaską 2,40 kor. Numer pojedyńczy 40 halerzy.

OGŁOSZENIA oblicza się od wiersza petytowego 30 fen. Przy stałem ogłaszaniu udzielamy wysoki rabat.

Adres Redakcyi i Administracyi: **„Tęcza” Poznań, ulica Długa 11.**



W pogoni za śremską odezwą.

Dla PP. Kupców i Przemysłowców.

W dzisiejszych czasach żaden kupiec i przemysłowiec nie może i nie ma prawa liczyć na powodzenie, jeżeli nie posiada gruntownej i wszechstronnej znajomości swego zawodu. Szczególnie w naszych warunkach, gdzie mamy do walczenia z konkurencyą kapitalistycznie silną lub przez rząd popieraną, znaczenie zawodowego wykształcenia jest postulatem pierwszorzędnym i rozstrzygającym o powodzeniu, jakiegokolwiek przedsiębiorstwa. Od zawodowej umiejętności i zdolności naszych kupców i przemysłowców zależy przedewszystkiem rozwój naszego życia gospodarczego, naszego dobrobytu, a co zatem idzie i naszej kultury. Wiadomo tymczasem, jak mało poświęciliśmy uwagi zawodowemu wykształceniu kupców i przemysłowców, jak bardzo nas jeszcze pod tym względem konkurencya obca przewyższa. Obowiązkiem polskich kupców i przemysłowców jest brak w tym kierunku wzajemnem pouczaniem się w towarzystwach, czytaniem książek i pism zawodowych wypełnić. Wprawdzie mało dotąd mamy książek i pism tego rodzaju, lecz tembardziej winny odnośne zawody z istniejących dotąd czerpać. Zwracamy szczególnie kupcom, przemysłowcom i fabrykantom uwagę na dwutygodnik »KUPIEC«. który podając wiele materyału z dziedziny handlu i przemysłu bardzo znaczne odda im usługi. Pismo to polecamy im najgoręcej. Abonament najlepiej rozpocząć obecnie z rozpoczęciem nowego kwartału. Każdy zeszyt »KUPCA« zawiera 36 do 40 stron druku z licznemi rycinami itd. „KUPCA“ abonować można na każdej poczcie za 1,56 M. kwartalnie z odnoszeniem do domu. Redakcya i Administracya „Kupca“ znajduje się od 1. 5. br. w Poznaniu, przy Długiej ulicy Nr. 11. Telefon nr. 2277.

Do Królestwa wynosi abonament kwartalnie 1 rubla, do Galicyi 2 i pół kor., do Ameryki pół dolara. — Abonament z zagranicy przesyłać także można w znaczkach pocztowych.

Nakładem i drukiem Antoniego Fiedlera w Poznaniu. — Redaktor Kazimierz Grus w Poznaniu.